

PRZEMOC W POLITYCE, POLITYKA PRZEMOCY

Łacińska maksyma *plus ratio quam vis*, rozum przed siłą, przestała w polskiej polityce obowiązywać jesienią 2010 roku. Została pogrzebana i przypisana słabeuszom. Niezbędnymi atrybutami polskiego polityka stały się kastet i kłonica, a celem – zniszczenie przeciwnika. To zabójcze, ale Polakom się podoba, bo przemoc stała się uosobieniem siły, która zawsze była u nas w cenie.

Znaczna część naszych dziejów to historia przemocy. Wystarczy spojrzeć na panteon polskich bohaterów. Owszem, zasiadają w nim Ignacy Łukasiewicz, Maria Skłodowska-Curie i Stefan Banach, ale przecież prym wiodą chwaccy wojacy. Gdzie tam w polskiej wyobraźni Łukasiewiczowi do Jeremiego Wiśniowieckiego, Skłodowskiej do Jana Kozietułskiego, a Bronisławowi Piłsudskiemu – etnografowi zajmującemu się ludami Dalekiego Wschodu – do jego brata Naczelnika. Widać to nawet w literaturze – kudy Bolesławowi Prusowi do Henryka Sienkiewicza, a Adamowi Asnykowi do zaangażowanego w „robotę powstańczą” Adama Mickiewicza.

■ WIELBIMY TYCH, KTÓRZY STOSUJĄ PRZEMOC

Większość Polaków umie powiedzieć kilka zdań o bitwie pod Grunwaldem, nawet wymienić datę dumnego zwycięstwa Jagiełły, ale ilu wie, że 56 lat później Kazimierz Jagiellończyk zawarł z zakonem krzyżackim drugi pokój toruński i – po wojnie, która obyła się bez spektakularnych bitew – naprawdę pognębił przeciwnika? Wielkie zwycięstwo na polach Grunwaldu nie przyniosło Polsce żadnych wymiernych korzyści, a nieco ponad pół wieku później, bez zbędnego szczęku oręża, odzyskałszy Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską i michałowską, Warmię, Powiśle z Żuławami, Malbork i Elbląg, mistrzowie zakonu zosta-

li zobowiązani do składania polskim królom hołdu lennego. Niewielu Polaków potrafi coś sensownego powiedzieć o Konstytucji 3 maja lub reformach Komisji Edukacji Narodowej, ale większość z dumą będzie snuła opowieści o husarii, zwycięstwie pod Wiedniem i bitwie pod Somosierrą. Nasza historyczno-patriotyczna świadomość jest przepelniona przemocą, więc tych, którzy przemoc stosują, instynktownie wielbimy.

Nie ma czemu się dziwić, skoro przemocą wybrukowana była II Rzeczpospolita z jej sztandarowymi wydarzeniami: zamachem majowym, uzbrojonymi żołnierzami paradującymi po gmachu parlamentu, wkroczeniem do Wilna, brutalnością policji (choćby podczas tłumienia wystąpień robotniczych w Krakowie w 1923 roku), politycznymi zabójstwami, stosunkiem do mniejszości narodowych, Berezą Kartuską czy zajęciem Zaolzia.

Eksplodza przemoc, podniesienie jej do rangi metody politycznej, nastąpiła w Peerelu, którego fundamenty na używaniu siły się opierały. Nie ma sensu przypominać obrazujących to faktów – od sfingowanych procesów, tortur stosowanych wobec przeciwników politycznych i ich mordowania, fałszowania wyborów, krwawego rozprawiania się z buntującymi się robotnikami w czerwcu 1956, grudniu 1970 i czerwcu 1976 roku, po wprowadzenie stanu wojennego, kiedy to zamykano ludzi mających sceptyczny stosunek do komunistycznych pryncypów.

■ WITOS W KAPCIACH

Drobny, na tle późniejszych zbrodniczych dokonań komunistów nic nieznaczący, ale charakterystyczny przykład z początku ludowej Polski. Marzec 1945 roku, komuniści dochodzą do wniosku, że dla zdobycia przychylności wsi powołają w szeregi „władzy ludowej” legendarnego chłopskiego przywódcę Wincentego Witosy. Ma on wejść w skład Krajowej Rady Narodowej. Próby przekonania przedwojennego premiera kończą się fiaskiem, więc komuni-

ści wysyłają do Wierzychowic oddział NKWD. Uzbrojeni żołdacy mają sprowadzić Witosą na „rozmowy polityczne” do Warszawy. Biorą go tak jak stoi – w kapturach. Witos się nie ugina, odmawia rozmów z Bierutem, wymawiając się nieodpowiednim strojem, czyli kapturami, w którym nie może się pokazać prezydentowi. I tylko swojemu wiekowi, pozycji politycznej i początkowemu stadium „ludowej rewolucji” zawdzięcza, że zostaje odstawiony do domu w Wierzychowicach. Też przez enkawudzistów.

W Peerelu przemoc wobec obywateli, jak w każdej dyktaturze, nie ograniczała się tylko do sfery politycznej. Nie chodziło wyłącznie o to, że naród musiał wyrażać odpowiedni poziom entuzjazmu dla partii i jej przywódców, że awans zawodowy był możliwy pod warunkiem posiadania czerwonej legitymacji – pod koniec „ludowej Polski” liczba stanowisk nomenklaturowych, a więc takich, które mogły objąć wyłącznie członkowie PZPR, sięgnęła 270 tysięcy – chodziło również o życie codzienne. O ograniczenie prawa do informacji (cenzura, zakaz słuchania zagranicznych stacji radiowych), wyjazdy za granicę, „talonowy” system sprzedaży na przykład samochodów, „przydzielony” mieszkań, reglamentowany obrót własnością, ograniczenie wolności gospodarczej, które w przedostatnim roku istnienia tego dziwnego tworu, jakim był Peerel, zniósł dopiero rząd Mieczysława Rakowskiego.

■ DYKTATOR REZYGNUJE Z PRZEMOCY

Co jednak interesujące, systemowa przemoc w Peerelu skończyła się jeszcze przed jego upadkiem, gdy komuniści uznali wyniki referendum z listopada 1987. To wydarzenie można uznać za kres stosowania przemocy systemowej, choć oczywiście jej przejawy jeszcze się pojawiały. Księża Stefan Niedzielak i Stanisław Suchowolec zostali zabici przez „nieznanych sprawców” w styczniu 1989 roku, a książdz Sylwester Zych miesiąc po wyborach czerwcowych, zomowcy z zapamiętaniem pałowali demonstrantów z KPN i WiN przez kilka miesięcy 1989 roku. Ale rezygnacja ze stosowania przemocy jako fundamentu systemu politycznego zaowocowała Okrągłym Stołem.

Po objęciu władzy przez „silnych bezsiłą” wydawało się, że systemowa przemoc trafi na śmietnik historii. Okazało się jednak, że to tylko idealistyczne mrzonki, nieprzystające do świata realnej polityki. Przemoc, w delikatnej formie, ale jednak, powróciła już jesienią 1991 roku. Szybko, skoro przez całe dziesięciolecie epoki

Jaruzelskiego „Solidarność” potrafiła walczyć z machiną generalskich rządów, przemoc nie stosując. Ale już w pierwszych, naprawdę wolnych wyborach do parlamentu postkomunistyczna lewica zdobyła 12 procent głosów, zaledwie o 0,3 procent mniej niż zwycięska Unia Demokratyczna i o blisko 3,5 procent więcej niż Wyborcza Akcja Katolicka. Mimo to, głównie za sprawą polityków UD, Sojusz Lewicy Demokratycznej, na który głosowało ponad 1,3 miliona osób, nie dostał stanowiska wicemarszałka Sejmu, ani nawet przewodniczącego choćby jednej sejmowej komisji. Postsolidarnościowi politycy, którzy w latach osiemdziesiątych sprzeciwiali się stosowaniu przemocy w walce z komunistycznym bezprawiem, teraz sami po przemoc sięgnęli. I zaciekle trwali przy tej metodzie, ku swojej zresztą zgubie.

Wiosną 1993 roku, gdy Klub Parlamentarny „Solidarność” złożył wniosek o wotum nieufności wobec rządu Hanny Suchockiej, zaczęły się negocjacje. „Kwaśniewski poszedł do Unii Demokratycznej i zaoferował, że będziemy głosowali razem z nimi za odrzuceniem wotum nieufności. W zamian chcieliśmy tylko, aby przestali nas izolować. Czyli żadnych konkretów. Niestety, odrzucili naszą propozycję z pogardą. W efekcie Suchockiej zabrakło jednego głosu” – opowiadał mi Leszek Miller. Przyznał, że gdyby nie doszło wówczas do obalenia rządu Suchockiej, historia mogła się potoczyć inaczej: „Sytuacja gospodarcza zaczęła się lekko poprawiać. Trudno też powiedzieć, w jakiej kondycji nasz Klub skończyłby tę parlamentarną kadencję, bo izolacja, pustka jaką wokół nas wytworzono, była dla wielu osób trudna do zniesienia. W 1995 roku, w którym normalnie powinny odbyć się wybory, wcale nie musieliśmy wygrać”. Tymczasem w przyspieszonych wyborach wygrali i wspólnie z PSL objęli władzę. Jednym z efektów tego zwycięstwa był późniejszy triumf Aleksandra Kwaśniewskiego nad Lechem Wałęsą w wyborach prezydenckich.

■ NIEODROBIONA LEKCJA

Polscy politycy, niestety, nie wyciągają wniosków z historii, nawet jeśli w tej historii uczestniczą. Leszek Miller, gdy tylko objął władzę, szybko i chętnie zaczął sięgać po polityczną przemoc. W lutym 2002 roku – Miller był wówczas szefem rządu – funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa aresztowali Andrzeja Modrzejewskiego, prezesa Orleń, co doprowadziło do jego odwołania z tej funkcji. Dwa

lata później okazało się, że celem tej operacji było niedopuszczenie do podpisania wartego 14 miliardów dolarów kontraktu na dostawy do Płocka ropy naftowej. Jak ujawnił Wiesław Kaczmarek, minister Skarbu Państwa w rządzie Leszka Millera, decyzja o zatrzymaniu Modrzejewskiego została podjęta w gabinecie szefa rządu i oczywiście przy jego wydatnym udziale. Ta afera, obok kilku innych, w tym przede wszystkim afery Rywina, na wiele lat zmiotła postkomunistyczną lewicę ze sceny politycznej.

Ale to była nauczka, której użyteczność okazała się równie duża, co uparte nauczanie w polskiej szkole o budowie pantofelka i minoga. Gdy w 2005 roku Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory, zaczęło korzystać ze służb specjalnych i prokuratury pełnymi garściami. Przede wszystkim wobec przeciwników politycznych. Tak było w wypadku posłanki SLD Barbary Bliidy, posłanki Platformy Obywatelskiej Beaty Sawickiej, wreszcie wobec byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, któremu próbowano udowodnić – po swoim powrocie do władzy w 2015 roku PiS kontynuuje tę krucjatę – że jest posiadaczem willi w Sandomierzu, co ma prowadzić do tezy o jego rzekomych „lewych” dochodach. W końcu, zgodnie z logiką tego procesu, przemoc została wymierzona w Andrzeja Leppera, wicepremiera i koalicjanta PiS. Wszystko po to, aby udowodnić tezę o istnieniu mitycznego Układu, który jakoby w 1989 roku objął Polskę w posiadanie i trzyma ją w uścisku. Temu służyło też rozwiązanie przez Antoniego Macierewicza Wojskowych Służb Informacyjnych. Korzyści nie było żadnej, zadęcia cała masa.

To istotna różnica między SLD i PiS, bo postkomuniści wprzęgli przemoc raczej do działań ekonomicznych, także na rzecz materialnych korzyści ludzi związanych ze swoim obozem. Negocjacje Andrzeja Pęczaka, łódzkiego barona SLD, dotyczące wyposażenia jego mercedesa na długo stały się symbolem systemu władzy postkomunistów. To właśnie ten system otworzył furtkę, w którą Jarosław Kaczyński z pomocą Mariusza Kamińskiego i Zbigniewa Ziobry wszedł w 2005 roku i błyskawicznie przerobił na szeroką bramę. To za „pierwszego PiS-u”, powstał słynny „ciąg technologiczny” – działacz lub poseł PiS wskazywał „wroga”, „niepokorne” media przygotowywały grunt, służby specjalne zatrzymywały go, zawsze w świetle telewizyjnych kamer, prokuratura oskarżała, a „niepokorni” dziennikarze urabiali „suwerena”.

■ ZDERZENIE Z AUTORYTARNYM PAŃSTWEM

Klinicznym przykładem takiego działania była sprawa profesora Mirosława Garlickiego, ordynatora oddziału kardiologii szpitala MSWiA w Warszawie, którego Ziobro oskarżył o korupcję, sugerując, że jest on winny znacznie poważniejszych zbrodni. „Mogło dojść do czegoś więcej niż korupcji i rażącego zaniedbań. Jednym z około dwudziestu zarzutów postawionych kardiologowi Mirosławowi Garlickiemu jest zarzut zabójstwa. Dochodziło do czynów, które należy rozpatrywać w kategorii zbrodni” – ogłosił na konferencji prasowej minister, *nomen omen*, sprawiedliwości. Sprawa, która wybuchła w lutym 2007 roku, zakończyła się po sześciu latach, w styczniu 2013 i złamała karierę prof. Garlickiego. To najlepszy dowód bezbronności obywatela wobec rządzących polityków, którzy w obronie swoich racji nie cofają się przed stosowaniem przemocy. Przemoc „pierwszego państwa PiS” wobec obywateli miała decydujący wpływ na utratę władzy przez partię Kaczyńskiego w 2007 roku.

Inny, może nawet bardziej jaskrawy przykład przemocy polityków wobec obywateli, to sprawa Sebastiana K., który w lutym 2017 roku miał nieszczęście znaleźć się na drodze przejazdu kolumny rządowej wiozącej premier Beatę Szydło. Młody kierowca został natychmiast uznany, m.in. przez Mariusza Błaszczaka, wówczas szefa MSWiA, winnym spowodowania wypadku. Później powtarzała to cała plejada polityków rządzącej partii, a w następnych miesiącach doszło w tej sprawie do takiej kumulacji zadziwiających wydarzeń, że trudno to uznać za przypadek. Dotyczyły one m.in. prawdopodobnego sfalszowania filmu z monitoringu i uszkodzenia płyty z filmem, na którym znajdowało się nagranie. W momencie pisania tego tekstu, 39 miesięcy od wypadku, sprawa jest daleka od rozstrzygnięcia. A Sebastian K., zupełnie jak Kafkowski Józef K., żyje w „niereczywistej rzeczywistości” stworzonej przez podległą rządzącej partii prokuraturę i broniącymi się przed winą funkcjonariuszami jednej ze służb specjalnych. W przemocowym systemie „państwa PiS” chroni go jedynie zaangażowanie adwokata Jacka Dubois i zainteresowanie opozycji. Gdyby tego zabrakło, dawno poniósłby karę. Być może nieadekwatną do domniemanej winy. W zderzeniu z autorytarnym państwem, co w praktyce zawsze oznacza jego prominentnych funkcjonariuszy, zwykły obywatel nie ma najmniejszych szans.

■ PRZEMOC SYMBOLICZNA

Być może jednak jeszcze bardziej dotkliwą formą przemocy, która zakiełkowała w Polsce w latach dziewięćdziesiątych, jest stosowana wobec różnych grup społecznych przemoc symboliczna. W świecie wirtualnym, wyznaczanym przez Internet i media społecznościowe, ta przemoc wcale nierzadko miewa siłę tsunami.

W III RP przemoc symboliczna zaczęła się od próby wyeliminowania, a przynajmniej zepchnięcia na margines, członków PZPR. Daleki jestem od obrony funkcjonariuszy komunistycznego aparatu władzy, ale wsadzanie do jednego worka wszystkich ludzi noszących czerwoną legitymację i przypisywanie im wszystkich zbrodni systemu – od procesu szesnastu po zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki – trudno uznać za sprawiedliwe i usprawiedliwione. Oczywiście, peerelowscy zbrodniarze i mordercy powinni zostać osądzeni i, jeśli taki będzie wyrok sądu, ukarani, ale cywilizacyjne normy obowiązujące na półkuli północnej nie przewidują odpowiedzialności zbiorowej. Członkowie partii, nie mówiąc już o ich dzieciach, co w Polsce stało się, niestety, normą (patrz: cykl książek *Resortowe dzieci*) nie mogą odpowiadać za winy konkretnych zbrodniarzy.

Tymczasem w III RP próbuje się ich w tę winę „ubrać”. Odpowiedzialność za to ponosi państwo, które nie poradziło sobie – to fakt trudny do podważenia – ze sprawiedliwym osądzeniem winnych peerelowskich przestępstw i zbrodni. W rezultacie również po to, aby tę słabość państwa ukryć, próbowano, co więcej, próbuje się nadal, tworzyć z całej, licznej grupy, ludzi drugiej kategorii. Na dodatek robi się to wybiórczo, bo o ile niektórzy członkowie partii komunistycznej mają zniknąć z życia publicznego, to inni, pod okiem naczelnych oskarżycieli, robią często oszałamiające kariery.

■ DOBRY CZERWONY, BO NASZ

Przypadek byłego posła PiS, a obecnie sędziego Trybunału Konstytucyjnego, Stanisława Piotrowicza, nie jest jedyny. Jest także legendarna „pani Basia”, przez całe dziesięciolecie szefowa sekretariatu Jarosława Kaczyńskiego, która w latach osiemdziesiątych pracowała pod okiem generała Michała Janiszewskiego, jednego z najbliższych współpracowników Jaruzelskiego. Jest przypadek Andrzeja Kryże, peerelowskiego sędziego, który serwował kary więzienia m.in. działaczom Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Bronisławowi Komorowskiemu, a także

wielu jeszcze prokuratorów z najbliższego otoczenia Zbigniewa Ziobry. Wiesław Dworczak, szef Prokuratury Rejonowej w Świdnicy i co ważniejsze szef prozobrowego Stowarzyszenia Prokuratorów Ad Vocem, to były członek satelickiego wobec partii komunistycznej ZSL. Czerwoną legitymację nosiło w latach osiemdziesiątych wielu prominentnych funkcjonariuszy Prokuratury Krajowej, m.in. Leszek Antoni Drwęcki, szef Biura Kadr Prokuratury Krajowej, i Andrzej Stankowski, dyrektor Biura Spraw Konstytucyjnych. Lista jest dłuższa. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w całym procesie dekomunizacji, która dokonała się w Polsce, obowiązuje zasada „nasz czerwony to dobry czerwony”.

Musi być „nasz”, w innym wypadku, jak pracownicy peerelowskiego MSW, poniesie karę, tracąc łącznie część emerytury. Ustawa w tej sprawie przyjęta przez parlament jesienią 2017 roku wszystkich pracowników służb mundurowych potraktowała jednakowo. W rezultacie obcięto emerytury zarówno funkcjonariuszom SB urządzającym prowokacje wymierzone w działaczy opozycji, jak i pracownikom archiwów, a nawet sprzętaczkom. Odpowiedzialność zbiorowa, do stosowania której polscy politycy mają niezwykle lekką rękę.

Próba wyeliminowania z życia publicznego byłych członków PZPR zakończyła się niepowodzeniem, co być może było podyktowane – o czym świadczą kariery takich ludzi jak Wojciech Jasiński, przez lata bliski współpracownik Kaczyńskiego, były minister Skarbu Państwa i prezes Orlenu – nieszczerością intencji i niespójnością przekazu. Bo jak można było myśleć o wyeliminowaniu z życia politycznego członków PZPR, skoro sam Jarosław Kaczyński kandydując w 2010 roku na urząd prezydenta ciepło mówił o Edwardzie Gierku?

Mimo to, „pierwsza wojna o symbole” zakończyła się niekwestionowanym zwycięstwem prawicy. To ona cieszy się dzisiaj wizerunkiem partii antykomunistycznej, zdecydowanie, od zarania walczącej z „postkomunizmem”. Prawdy w tym jak na lekarstwo, ale ten wizerunek zdobywa jej wielu zwolenników, którzy nadal, ponad trzydzieści lat od upadku komunizmu, z komunizmem walczą. Często lecząc kompleksy.

■ WOJNA O PATRIOTYZM

Już podczas tej pierwszej wojny o symbole pojawiały się wątki, które prawica później jeszcze wyostrzy, ujednotoci i zacznie z powodzeniem wykorzystywać od jesieni 2010 roku.

Dwa wśród nich są najważniejsze: zarzut braku patriotyzmu i działanie na rzecz obcego mocarstwa. Oba głęboko osadzone w polskim postrzeganiu „klas wyższych”, w tym polityków, i oba mające ogromną siłę rażenia. Umiejętnie użyte niszczą przeciwnika, zmiatając go ze sceny politycznej.

Publicznie jako pierwszy w III RP taki zarzut, choć w nieco zawołanej formie, postawił Leszek Moczulski, przywódca Konfederacji Polski Niepodległej, który w 1992 roku z trybuny sejmowej „rozszyfrował” skrót PZPR jako „Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji”. Jeśli słowa Moczulskiego odnosiły się do kierowniczych gremiów partii komunistycznej, można je w świetle historycznych faktów uznać za uzasadnione. Jeśli natomiast „deszyfracja” nazwy partii komunistycznej odnosiła się do wszystkich członków partii, byłaby to już gruba nieprawda.

Słowa Leszka Moczulskiego można też uznać za początek polskiej wojny o patriotyzm. Wojny, która zakończyła się bezapelacyjnym zwycięstwem prawicy. Z przestrzeni publicznej, z wyobraźni Polaków, całkowicie i „do spodu” wyeliminowana została lewicowa tradycja niepodległościowa, nawet ta związana z tak do niedawna hołubionym Józefem Piłsudskim, w końcu członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Nie ma już więc w polskiej świadomości tradycji roku 1905, nie ma rządu Jędrzeja Moraczewskiego, ani zamordowanego w grudniu 1922 roku prezydenta Gabriela Narutowicza, do którego Józef Piłsudski (dzisiaj jego kult coraz bardziej zastępuje uwielbienie dla Romana Dmowskiego) powiedział: *Panie Prezydencie, jako jedyny oficer polskiej służby czynnej, który dotąd nigdy przed nikim nie stawał na baczność, stoję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!*

Lewica, przynajmniej dla starszego, niezwiązanego z PZPR pokolenia, to jedynie Komunistyczna Partia Polski, Bierut, Minc, Radkiewicz i Gomułka – „rosyjska swołocz”. Monopol na patriotyzm ma prawica. Przez lata zawłaszczała tradycję Armii Krajowej, ale z czasem to przestała wystarczać. W latach dwutyścnych zaczęła, znowu z powodzeniem, kreować tzw. żołnierzy wyklętych, przedstawiając ich jako nieskalanych wrogów komunizmu, choć czyni wielu z nich budzą uzasadnione wątpliwości. Dzisiaj to oni stali się wzorcami patriotyzmu, spychając na margines AK. Ten marsz na prawo nie ma końca, prawica coraz

śmiejiej wychwala Narodowe Siły Zbrojne, czego przykładem było złożenie przez Mateusza Morawieckiego kwiatów na grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej pod Monachium w lutym 2018 roku.

■ NA PASKU ANGELI I WŁADIMIRA

Jesienią 2010 roku, już po przegranych wyborach prezydenckich, PiS rozpuścił „wojnę o patriotyzm”. Jeszcze w kampanii Jarosław Kaczyński prezentował się jako „gołąb”, wygłosił nawet przemówienie „do przyjaciół Moskali”, ale na niewiele się zdało. Przegrał i natychmiast dał się przekonać, że gdyby w kampanii wyborczej obrał twardą linię, to zastąpiłby Lecha Kaczyńskiego w Pałacu Prezydenckim i nie musiałby znosić upokarzającej porażki z Bronisławem Komorowskim.

Od tej chwili, zrazu ostrożnie, powoli, PiS zaczął stosować przemoc symboliczną wobec swojego głównego przeciwnika – Platformy Obywatelskiej i Donalda Tuska. Nie startował od zera, już w kampanii 2005 roku stworzył „dziadka z Wehrmachtu”. Teraz wystarczyło przekonać wyborców, co dzięki odwołaniu się do polskich historycznych stereotypów nie było zadaniem tytanicznym, że mający dziadka w Wehrmachcie Tusk to w istocie „volksdeutsch” idący na pasku Angeli Merkel. Jest chichotem historii, że to nie Tusk ma niemieckie korzenie, ale Merkel korzenie polskie – dziadek kanclerz Niemiec, Ludwig Kaźmierczak, mieszkał w Poznaniu, z którego wyjechał w 1914 roku, po powołaniu do wojska, i później osiadł w Niemczech.

Z czasem, po katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem, Tusk zaczął „chodzić na pasku” również Władimira Putina. Doktryna „dwóch wrogów” jest w polskiej świadomości historycznej zakorzeniona głębiej niż broniące rzymskiego imperium Wały Hadriana. To zresztą interesująca koincydencja: przeciwnicy Stalina i wrogowie ludowej Polski z okresu stalinowskiego nigdy, według oskarżycieli, nie byli agentami tylko jednego wywiadu. Zawsze, poza niemieckim, współpracowali również z wywiadem francuskim, japońskim, amerykańskim i bóg raczy wiedzieć jakim jeszcze. W przemocowej polityce wróg – to jedna z podstawowych jej doktryn – musi być świnia ześwinioną po wielokroć. Od tego był już tylko krok do oskarżenia Tuska, a za nim całej Platformy Obywatelskiej, o współuczestnictwo w zamachu, który w myśl doktryny PiS miał się dokonać w Smoleńsku.

Plan, genialny w swojej prostocie, trzeba było tylko zinstytucjonalizować. Temu służyły miesięcznice smoleńskie. Właśnie „miesięcznice”, bo to nadawało im odpowiedni, łatwy do zapamiętania, rytm. Drugą nogą instytucjonalizacji wojny posmoleńskiej stał się sejmowy zespół Macierewicza, po 2015 roku przekształcony w „podkomisję smoleńską” z ludźmi wyposażonymi w tytuły naukowe. Tytuły zdobyte w dziedzinach dalekich od lotnictwa, a już zwłaszcza badania katastrof lotniczych, ale to nie miało już znaczenia. To jeszcze jeden dowód przemocy – wbrew retoryce, PiS traktuje „suwerena” jak niewiele rozumiejącego idiotę. Niestety, nie bez racji.

■ MORDY ZDRADZIECKIE, KOMUNIŚCI I ŻŁODZIEJE

Sukces tej polityki okazał się oszałamiający. Tym bardziej że do sosiku „zdrajców narodowej sprawy” – a okrzyk „zdrajca” jest przez Polaków podchwytywany nadzwyczaj łatwo i zawsze z bezrefleksyjnym entuzjazmem – prawica dołożyła jeszcze schlebianie „suwerenowi” i jego przekonaniu, że choć jesteśmy „Chrystusem narodów”, to zawsze jesteśmy przez obcych sekodami. Że dosyć już „pedagogiki wstydu”.

Przez pamięć historyczną polskiego społeczeństwa PiS przejechał walcem. Posługując się przemocową „polityką historyczną”, prawica utrwaliła w Polakach mity o nieskazitelnym polskim narodzie wciśniętym między wrogie mocarstwa, narażonym na ich spiski i knowania. Zmiana tego stanu rzeczy zajmie dziesięciolecia ciężkiej pracy. Pod warunkiem, że komus zachce się tego zadania podjąć. Ale jeśli nie, to PiS albo będzie trwał u władzy przez dziesiątki lat, albo szybko do niej wróci.

Później już poszło gładko. Bo jak mogło nie pójść? Jeśli po jednej stronie byli zdrajcy narodowej sprawy, spiskujący z Władimirem Putinem i Angelą Merkel politycy PO, a z drugiej „patrioci”, to wybór przy wyborczych urnach nie był trudny.

Od momentu zwycięstwa w wyborach prezydenckich w 2015 roku, a później parlamentarnych w 2019, prawica nie musiała już ograniczać się tylko do przemocy symbolicznej. Co nie znaczy, że jej zaniechała. „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje” wykrzycał przez Kaczyńskiego wspólnie z Joachimem Brudzińskim w 2015 roku to tylko przykład. Później były „mordy zdradzieckie”, wymierzona w sędziów kampania Polskiej Fundacji Narodowej, nowelizacja ustawy o IPN. I roz-

pętanie wojny z elitami, które PiS chce zastąpić elitami o „prawidłowych” poglądach. I robi to z reguły metodami administracyjnymi, wyrzucając sprawdzonych menedżerów i wstawiając do największych nawet spółek skarbu państwa wójtów i działaczy swojej partii. Kariera wójta Pćimia Daniela Obajtka, prezesa najpierw Energi SA, a obecnie PKN Orlen, jest tylko jednym z przykładów.

■ KLAPS NIE ZOSTAWIA ŚLADU

Festiwal przemocy od jesieni 2015 roku odbywa się także w parlamencie. Nie chodzi tylko o słowa, choć i one mają znaczenie. Przede wszystkim o sposób procedowania najważniejszych aktów prawnych, bardzo często z pominięciem normalnej, parlamentarnej drogi. Wiele ustaw zgłaszanych jest jako „inicjatywy poselskie”, co oznacza, że nie przechodzą normalnej drogi konsultacyjnej i są błyskawicznie uchwalane. Tyle że później muszą być wielokrotnie poprawiane, a co ważniejsze, znacząco ograniczają wpływ społeczeństwa na proces legislacyjny. Ta przemoc ujawnia się również w nieustannych ograniczeniach czasu parlamentarnej dyskusji, wyłączeniem mikrofonów posłom opozycji, nakładaniem na nich kar za najmniejsze nawet przewiny. Rzecz charakterystyczna – gdy w wyniku „afery lotniczej” Elżbieta Witek zastąpiła na fotelu marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, ten sposób działania nie uległ najmniejszej zmianie.

Skłonność do stosowania przemocy i większa dla niej tolerancja są charakterystyczne dla prawicy, nie tylko polskiej. I nie tylko w sprawach politycznych. Zakopane, tradycyjnie władane przez prawicę, jest jedyną w Polsce gminą, która nie przyjęła ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Miejscowi radni motywują to „góralską tradycją”, ale nie jest to wbrew pozorom lokalna sprawa. „Muszę państwu pogratulować. Jedyny samorząd w całej Polsce, który się sprzeciwił, ale wiadomo: górale to odważny naród” – oświadczyła w styczniu 2019 roku Beata Szydło, była premier, a wówczas wicepremier ds. społecznych! Zbliżone, a w każdym razie nieodległe poglądy na przemoc ma rzecznik praw dziecka, osadzony na tym urzędzie w 2018 roku adwokat Mikołaj Pawlak. *Klaps nie zostawia wielkiego śladu. Trzeba rozróżnić, czym jest klaps, a czym jest bicie* – oświadczył w jednym z wywiadów. Człowiek, którego urząd ma stać na straży praw dzieci. Przykładów skłonności polityków prawicy do przemocy można znaleźć więcej: Janusz Korwin-Mikke ze swoimi

poglądami w sprawie kobiet czy niepełnosprawnych jest może przykładem skrajnym, ale wypowiedzi wielu radnych prawicy nie pozostawiają wątpliwości, że nie jest aż tak bardzo wyjątkowy. Politycy prawicy mają też wyjątkową łatwość w nakładaniu na obywateli różnych nakazów i zakazów. Dotyczy to sfery seksualności, religijności, kultury, wychowania dzieci, spędzania wolnego czasu.

■ W ŚWIECIE DEMONÓW

Przemocowe skłonności Prawa i Sprawiedliwości w najbardziej jaskrawej formie ujawniły niedoszłe wybory 10 maja 2020 roku. W działaniach PiS było wszystko, co charakteryzuje rządy tej partii od 2015 roku – przyjęte na „rympał” akty prawne, cwaniackie upychanie korzystnych dla siebie przepisów w ustawach dotyczących zupełnie innych spraw (tzw. Tarczy antykryzysowej), lekcyażenie opinii opozycji, Państwowej Komisji Wyborczej oraz środowiska prawniczego, buta i arogancja ministra Jacka Sasina.

Jednak próba osadzenia Andrzeja Dudy na prezydenckim stolcu zakończyła się spektakularną klęską. Ale to rządzących niczego nie nauczyło, bo już następnego dnia podobny, przemocowy sposób działania zastosował

w Sądzie Najwyższym nominat „dobrej zmiany”, sędzia Kamil Zaradkiewicz. Po trzech dniach zrejterował, prosząc prezydenta o ustanowienie nowego regulaminu. Można się spodziewać, że nowe przepisy wyboru I prezesa Sądu Najwyższego będą zgodne z duchem działania obozu władzy.

Nadzieja na to, że klęska „wyborów pocztowych” czegoś polityków PiS nauczy, jest złudna. Ci z polityków opozycji, którzy tak sądzą, oszukują samych siebie. Nie nauczy, bo stosowanie przemocy jest zapisane w „kodzie genetycznym” tej partii. Na dodatek ten kod jest wzmacniany przez osobowościowe cechy Jarosława Kaczyńskiego, zafascynowanego siłą, pamiętliwego i podejrzliwego, przekonanego, że światem rządzą spiski i agenci. Nawet jeśli nie wierzy w Macierewiczowską tezę o zamachu w Smoleńsku, to jednak oskarża o śmierć brata całą polską klasę polityczną. I chce zemsty. Z ludzkiego punktu widzenia można to nawet zrozumieć, ale takie myślenie u polityka, szefa rządzącej partii, jest destrukcyjne. U polityka nieznanego świata, zasklepionego w świecie własnych demonów, oderwanego od rzeczywistości może to być powodem do nakręcania spirali przemocy.

Piotr Gajdziński

William Kentridge, fragment wystawy w Muzeum Sztuki w Bazylei, fot. Julian Salinas, patrz s. 90

